

Adam Kielbasiewicz



Z rozsypanych ziaren

Jaworzynka-Śliwkula (2011) 2012

Sobie Pisanie

T. XXII²

Z rozsypanych ziaren



Copyright © Adam Kielbasiewicz

Jaworzynka-Śliwkula (2011) 2012



Z rozsypanych ziaren

Z przymkniętymi do pół źrenic drzwiami wdzieram
się w snów Twoich przestrzeń kolorowo-liniową
gdzie ubrana wzorem skreślonym na oczekaniu
skonstruowanymi marzeniami pokojem obdarowana
skrzydłami tęsknoty z niepokojem by Twoim być
przyłotem...

Kiedy wrócę nieskażony do domu przyniosę Imię
Twoje dobre kłosem pełnym kromek rozdanych dalej
i dzban pełen potokiem rozlany szeroko nie wiedzieć
czemu zostawiłaś sobie tylko łez sznureczek na
ozdobę i uśmiech skromnie założony...

Gdziekolwiek bądź i dokądkolwiek słowem
powędruję ubogim klejnot podaruję temu co prosi
proszę hojnemu zaś dziękuję...

Zagarnąć i zamknąć w słowie tęsknotę i słów tyle
które paść mogły i tych co miały a nie padły teraz w
objęcia cienia czasu co umarły i który jako jedyny nie
będzie z martwych wstały...

Deszczem złotych kropeł zachodzącego słońca
żegnam się z chmurami tęczą ogniem gorącą zbożem
pachnącą zielenią traw uśpioną niebem odkłonią...

Przegadane słowem nietrwałym jak noc co kończy
spotkanie pocałunków tęsknoty hodowane w ukryciu
na łańcuchu zdziwienia jednosłowne zatrzymuję nad
krajobrazem do którego zwycięsko dotarła dusza
ciekawska w zamyśleniu o sensie i celu swojego
przemienienia...

Złote jabłko pogryzałem słodkie dobrym słowem
zapijając cierpkim dniem zwykłym dziennym po
sobie wieczność na zmianę z terażniejszością
smakowałem krótką chwilę całym sobą płaciłem za
długą gościnę i za zbytek...

Do chwili krótkiej chwilę składam w deszczu słów
czekając na chwilę przysiadam i czekam czekaniem
słowem jednym nie nudząc się baśnie opowiadam do
baśni przykładam i badam ile chwil moich w
baśniach które czytam i które opowiadam...

Pnączami w Twoje okna pukają już kwiaty wielkimi
dłońmi jak bochny pszenie uśmiechnięte krzyżem
wypiekane na drogę dla domowników i gości ubogich
z torbami pełnymi wspomnień i marzeń jak mew
tęsknota skrzydlata co przysiadła na chwilę na
wysypisku śmieci...

Serdecznie As przebija spod liści zielonych ku
wolności ubogich dróg ku bliźnim zniewolonym
ciężarem dokładnie drukowanym różnokolorowym
nominałem traconym późnym wieczorem aż do
pierwszej zmiany...

Niedościgniony koloru motyl niby słaby jak źdźbło
trawy pierwszej wiosennej mrozem zatrwożonej
pierwociny darów Bożych dla świata co budzi się do
życia życzliwym promieniem wskrzeszony po śnie
zimowym...

Z szumem odchodziłaś szelestem spłowiałym dni
krótkich uciekaniem za zasłonę zimy milczenia
leniwego czasu co do czasu dzień za dniem okrada
znieść nie mogąc kolorów złotych i czerwieni odcieni
tęsknoty za dniami słonecznie spełnionymi
serdecznie...

**Bez słowa i choćby skromnego pozwól usnąć
drzewom nie mąć ich milczenia zamyślenia im daruj
chwil kilka ulotnych wietrznie szemrzących głosami
cudzych obcych miejsc i czasów tęsknoty...**

Na paluszkach rosne sięgając nieba na przekór
innym planom zamierzeniom stawiam dom dla
wrażliwych niebiański pełen duchów anielskich
życzliwości wzajemnej dodawanej do każdej stawy
okraszonej uśmiechem dobrym słowem kromek
dobrych cały wspólny bochen...

Zamglonych kwiatów wierzchem dłoni przecieram
oczy odciągając powieki zaspanych przechodniów
zbyt wczesnoporannych przeganianych z domu do
pracy ze zroszonym czołem pod opieką tęsknot i
marzeń o złotym a nie złym brzasku Pana Brata
Słońce...

**Przeplatam myśli czarnobiało-kolorowe snują się od
jednej do drugiej słowem łączę to co niemożliwe
czynię ciałem idee samotne rozproszone po
zakamarkach dusz ludzi zagonionych w jedno
miejsce gromadzę i karmię posyłając znowu w
drogę...**

Głodem rozpraszam słowa kierując z prostotą losem
człowieka pełnego zadumy nad historią świata stojąc
w pośpiechu pracując od poranka do świtu nie
budząc się wcale z obłąkania dobrobytem...

Ziewaniem daję znać o drodze do raju opowiadać
będę na skinienie palcem jednym najmniejszym
kierowany w życiu przykazaniem Twoim losem
zawstydzony kajam się by zmienić się choć o jotę...

Zwrócona ku mnie uwagę odwracasz żółtym
kwiatem ku słońcu i niebu wyruszamy razem pod
rękę podkładając kamień i pod nim kamień
murowany szaniec naszej wolności wzajemnie sobie
raz za razem danej...

Spacerując wymownie od okna do biegu się
przymierzam stroje błazna rolę poety niedolę
zostawić chcę przeżyć dzień za dniem przemija czas
już kończyć poemat o życiu spełnionym...

**Za wskazówką pójde na tarczy powróce niesiony
potomków snów swoich pamięcią z przeplotem
tęsknoty za czymś doskonalszym niż to co można
odkryć tylko w sobie...**

Zostałem namaszczone żywym spojrzeniem
niebios co skłonię ku ojcowiźnie mojej wyśnionej
przejrzyście wyraziście zarysowanej piórem
anielskim bezbronnym ofiarowanym za oręż nie
walki a wykupienia wszystkich od winy zwątpienia i
strachu...

Żeglugi chmur białych aniołów po bezkresie
wyobraźni opisać się nie da a jednak próbuję
umieścić choć kawałek nieba w ramach
przezroczystych na kawałek ziemi pod stopami co
niosą nas naprzeciw sobie i przeciw zwątpieniu w
miłosierdzie chleba...

Zamarłem w dźwięku nieoczekiwania w pół
nieboskłonu westchnień i zażaleń na wodę i ogień co
zerwały tamę obojętności i gwałtu nie czyniąc
nikomu odmieniły formy przypadki osoby czyniąc
zadość pragnieniu by być kimś znaczącym karty przy
stoliku Bożym...

Obsesją staję się dla tęsknoty i dla wspomnień o
wyobraźni do której dążę gdy ktoś mi kłody rzuca
pod nogi ospale przez nie przełazę niemrawo jakoś
tylko jednym zdaniem rozpisując ciemność na
twarzach i w oczach strach obłęd tęsknoty i
wspomnień czar zawistny...

Litery stawiam symetrycznie gawędząc o tym i o
owym na serca obu komorach i przedsionkach i o
zwykłych sprawach ludzi codziennością zmęczenia w
twarzach spożytej gazety wiadomości pełnej
rozkawałkowanych na świadomość nietykalności co
tylko srebrem piecowym mamy mamy mamy...

Ziarno rozsypałem kamieniem rzuconym się zdało w
niepamięć na odwrotnej stronie cienia pochylonego
nad skarbem złożonym w kołysce słowa co na
krawędzi zawieszono do skoku się czai w przestrzeni
wolna lotem niespokojnym pod gwiazdą szczęśliwą
spotkaniem choć ulotnym to już dokonany...

Wstecz o trzy kroki samotności z wątpienia rozpaczy
nie dając dojść do słowa które padły by zgoła
nieoczekiwanie przez nikogo niechciane nawet
deszczem obmywam twarz słońcu spalonej wiatrem
losu odmienić chcę oblicze słowem obmyślonym
nowym darem jak uśmiechem w cieniu nocy...

Dzielę kroki pomiędzy czas przeszły do historii
zamierzchłej wspomnień i marzeń swawolnych
przestrzeń stąd do końca Twojej dłoni na której
staram się złożyć szczęścia pocałunek pozornie
spętany konwenansem niemodnym a pozornie
gestem wolnym w swej wymowie tak-tak nie-nie tam
gdzie nic po słowie nie zostaje najbardziej gładkim
wymownym czy słodkim...

Kamień milowy cichcem wykradłem spod głowy bogaczowi myśli idei prawd w ugór rzuconych by uczynił dobro wolny swoją drogą życia nie żałując i wstecz się nie oglądając przestrzeń brukowaną gestem wypełnioną słowem utrzesioną dobrem na które dotąd ślepy był ze ślepcami pod rękę prowadzony w sen niespokojny...

Oślepiłem na dźwięk słowa które mnie pochłonęło
pijąc z duszy otwartej ostatnie krople sumienia w
zwątpieniu i strachu pośrodku niemocy uczynienia
czego i kogokolwiek zdrowym i beztroskim krokiem
pójść chciałem niewidomy dla innych przed Tobą jak
kamień wędrujący po-lodowcowy już nie oziębły lecz
słuchający widzący i żywy...

Siostra niechciana Śmierć uśmiechem wabi
nieskończoność przyprowadza do domu Cię
zapraszając w drogę czas by wyruszyć najwyższy i
chwalebny Boże co pomagasz przemijać oddechami
wspomnień rytm zmieniasz z dalekiej nieznajomej w
kogoś do przytulenia...

Zerknąłem tylko raz wstecz po raz drugi upadłem na
kolana w pył drogi tak w zasadzie do nikąd nikogo
nie poprowadzę do pojednania mojej naiwności z
dobrocią Twego stwarzania...

Czy na życie starczyło niezapominajek równym
krokiem zbieranych okiem rozrzuconym gestem
szerokim hojnym niereglamentowanym choć w
kolejce do skarbu łaski kolejna już zielenieje złoci się
modrzy i kłosi do zżęcia gotowa na spotkanie z
przymierzem Dobroci i Niewinności...

W kolumnach pochylonych znojem wydarzeń
zapisano spotkanie osób z krajobrazem sztuki
kawałek drogi za kawałkiem odmierzany zegarem
wspomnień i wyobrażeń co przesiewa dobre i złe
uczynki człowieka dla człowieka...

W strwożonej niepamięci dobrego urodzenia duszy
korzeniami tkwiąc po zmysłów granice na
marginesach łowiąc dźwięki nieprzebytej głuszy
serca woli myśli dekretami sumienia które tłumić
może niechcący jedynie na starość rutyny
skostniałość i brak wymuszony pamięci
doświadczenia...

W bliźniaczym smutku cieniem uśmiechu
rozproszonego dorastam do kraju obietnicy danej i
zadanej słowem żywym nie umarłym na brak miłości
serdecznie za nas przebitej i ofiarowanej krzyżem
Tajemnicy...

Zechce cicho i bez wyrazu wychodząc ze mnie lekkim krokiem to owo coś mną pozostając wynosić na zewnętrzną stronę istnienia zapomnianego przez postronnych widzów spektakli wypowiadając jestestwo moje jak posłuszeństwa słowo znaczące gestem skreślone jesiennymi wargami powietrze łapiąc i mrugając powiekami w zdziwieniu nad kartką papieru do końca już zapisaną...

Mokrymi powiekami sięgnąć zdziwienia w
półprzymknięciu zakosztować dobra okrucichów nie
żałować bliźniemu dając cząstkę do cząstki dodając
swojego zdumienia nad i co do odmienności dzielącej
Stwórcę wszechmocnego od stworzenia i do
Wszechmocnego co stwarza by każdy wrócić mógł
gdy chce krok za krokiem dążąc do zbliżenia...

Skamieniało stosownie do okoliczności milczenie
nocną w ciszy adoracji chwilą wytrwałą gdy dla
poezji chciałaś wejść pomiędzy słowa Miłość Pasja i
Ofiara z wrażliwością drżącej na wietrze brzozy...

SPIS TREŚCI

Z przymkniętymi do pół żrenic drzwiami
Kiedy wrócę nieskazono do domu
Gdziekolwiek bądź i dokądkolwiek
Zagarnąć i zamknąć w słowie tęsknotę
Deszczem złotych kropel zachodzącego słońca
Przegadane słowem nietrwałym jak noc
Złote jabłko pogryzałem słodkie dobrym słowem
Do chwili krótkiej chwilę składałem w deszczu
Pnączami w Twoje okna pukają już kwiaty
Serdecznie As przebija spod liści zielonych
Niedościgniony koloru motyl niby słaby
Z szumem odchodziłaś szelestem spłowiętym
Bez słowa i choćby skromnego pozwól usnąć
Na paluszkach rosnę sięgając nieba

Zamglonych kwiatów wierzchem dłoni
Przeplatam myśli czarnobiało-kolorowe
Głodem rozpraszam słowa
Ziewaniem daję znać o drodze
Zwrócona ku mnie uwagę odwracasz
Spacerując wymownie od okna
Za wskazówką pójdę na tarczy
Zostałem namaszczony ożywczym spojrzeniem
Żeglugi chmur białych aniołów po bezkresie
Zamarłem w dźwięku nieoczekiwania
Obsesją staję się dla tęsknoty
Litery stawiam symetrycznie gawędząc
Ziarno rozsypałem kamieniem rzuconym
Wstecz o trzy kroki samotności zwątpienia
Dzielę kroki pomiędzy czas przeszły do historii
Kamień milowy cichcem wykradłem spod głowy

Oślepiłem na dźwięk słowa

Siostra niechciana Śmierć uśmiechem wabi

Zerknąłem tylko raz wstecz

Czy na życie starczyło niezapominajek

W kolumnach pochyłonych znojem wydarzeń

W strwożonej niepamięci dobrego urodzenia

W bliźniaczym smutku cieniem uśmiechu

Zechce cicho i bez wyrazu wychodząc ze mnie

Mokrymi powiekami sięgnąć zdziwienia

Skamieniało stosownie do okoliczności



Z rozsypanych ziaren